Jakób Lewittes

# POSTHUMUS

Rój

1930

Jakób Lewittes

# POSTHUMUS

Rój

1930

Cena egzemplarza oprawnego 3 złote

Druk. „MONOLIT", Warszawa, Ogrodowa 1, Tel. 101-92.

*Feliksowi Ujejskiemu,*
*towarzyszowi młodych,*
*niepowrotnych lat*
*poświęcam*

*„Cur mundus militas*
*sub vana gloria,*
*cuius amoenitas*
*est transitoria"*

# Grzech Pierworodny

## *WYZNANIE*

*Płomienna żagiew*
*pali się*
*na mej drodze.*

*Tem większa ciemność*
*iści się*
*po moich tropach.*

*Słoneczna jasność*
*budzi się,*
*gdy spojrzysz na mnie.*

*Niemoc zwątpienia*
*dusi mnie,*
*gdy się odwracasz.*

## *ANGELA DEI*

*Będziemy mieli gołębie — —*
*a paw*
*odkrzyknie drobnemu ptactwu*
*wśród bzu, wśród mchów, wśród traw.*

*Będziemy mieli studnię*
*wśród drzew,*
*spoczniemy w cieniu, w południe — —*
*na ustach naszych śmiech, śmiech wartki*
*niby krew.*

*Pójdziemy w sianokosy*
*wskroś pól, wskroś łąk — —*
*Pochwalony niech będzie*
*Ten, co oczyszcza z mąk.*

*Błogosławiona Macierz,*
*błogosławione Łono — —*
*Hosanna wszystkiemu, co żywie...*
*— — — — —*
*Pani, Kochanko, Żono!!!*

## *P I A*

*Jeżeli Cię zapomnę,*
*niech uschnie*
*prawa ma dłoń i ramię,*
*co ją dźwiga.*

*Jeżeli Twoim będę,*
*niech zalśni*
*mój duch, niechaj zakwitnie*
*wieczystą zielenią rzeźby:*
*akantus na kapitelu korynckim,*
*trwającym wieki długie.*

*A jeśli dasz mi dziecię,*
*malutkie, złotowłose — —*
*Nazwiemy ją,*
*tę naszą małą córeczkę:*
*Pia.*

*Albowiem macierz jej*
*z anielic była.*

# *LĘK*

*Przed Twoje okno,*
*za mostem Poniatowskiego,*
*w zacisznej, pięknej ulicy — —*
*nie mogę wcale pójść,*
*bo jestem stary*
*i lękam się*
*ośmieszenia.*

*Przed Twoje wrota,*
*nasiąkłe zapachem*
*wody wiślanej — —*
*nie mogę wcale pójść,*
*bo jest mi bardzo smutno*
*i lękam się*
*osamotnienia.*

*Przed Twoje oczy,*
*zasnute mgłą czy łzami — —*
*nie mogę dzisiaj pójść,*
*bo wracam*
*po nocy,*
*spędzonej u obcej kobiety*
*i lękam się*
*nawrócenia.*

 

## *AQUIS SUBMERSUS*

*Twoje oczy są chyba jak morze?*
*Wczoraj — duszą — spijałem bławaty,*
*a dziś szmaragd podziwiam bezcenny —*
*jakżem szczęśliw, o jakżem bogaty!*

*Twoje oczy są chyba jak morze?*
*Szmaragdowe, nieobeszłe wody!*
*Pochłonęły mnie całkiem, przyjęły,*
*i znów jestem — jak ongiś — młody!*

*I znów płynę — jak ongiś — La Manchem,*
*kredy Dowru pozamną — przedemną*
*głębinowa, zielona toń morska*
*chłonie myśl mą ponurą, przyziemną.*

*Mówi do mnie toń morza, toń boża:*
*tyś mój brat jest, a może kochanek,*
*weź mnie całą, wstąp we mnie, przepadnij!*
*Niech się święci nad nami poranek!*

*Chłoń mnie wszystką w tej głębi, w tej ciemni,*
*niech się spełni kosmiczne zdarzenie,*
*niech się łamią w bezkresach komety:*
*— nikt nie dojdzie przed Czasem do mety!*
*o rozkoszy! o szczęście! o drżenie!*

*Zapomniałem, że gniłem w ziemiankach,*
*i strzelałem do ludzi, do wróbli,*
*zapomniałem, żem służył po bankach*
*i mnożyłem sto funtów, sto rubli...*

*Zapomniałem, że życie jest farsą,*
*gdzie się głupcy z chytrkami zmagają,*
*że łotrzyki zbierają uznanie,*
*i że gorzej samemu, niż z zgrają...*

*Myślę tylko, by trwać tak w bezruchu,*
*chłonąć wodę, i być pochłonięty,*
*i nie grzeszyć, jako ludzie grzeszą,*
*i być cichy, ukojny, i święty.*

*Twoje oczy są chyba jak morze?*
*Wczoraj — duszą — spijałem bławaty,*
*a dziś szmaragd podziwiam bezcenny —*
*jakżem szczęśliw, o jakżem bogaty!*

## *BEZSILNOŚĆ*

*Czy wiesz?*
*Było mi dziś smutno, bardzo smutno,*
*i myślałem,*
*że już zapadły się gaje Wysp Szczęśliwych*
*i próżno rozpinam żagle na wiatr, na morze,*
*i darmo kuszę serce obietnicą*
*czarownych snów.*

*A potem przyszła noc, obłudna noc majowa*
*i wyiskrzyła na mnie gwiazd miljony,*
*na moją nędzę, przyziemny niepokój,*
*rzuciła blaski błędnych mlecznych dróg...*
*Gdzieś, za bezmiarem ginęły atole,*
*kędyś w bezkresach przepadały światy,*
*kosmicznych dziejów spełniała się karta.*

*A ja?*
*Mały i śmieszny, rozpalałem fajkę,*
*pontyfikalnym ruchem krzesząc ogień,*
*o jakże marny nasz współczesny znicz!*

*Czy wiesz?*
*Kłamią me słowa! To nie światów pogrom,*
*ani przeczucie dyluwialnych mąk*
*tak pognębiły me serce, dotarły*
*do rdzenia duszy, do atomów krwi,*

*Tylko ta pewność, żeś poszła odemnie*
*i już nie zaznam pieszczoty twych rąk:*
*że już zapadły się gaje Wysp Szczęśliwych,*
*że próżno żagle rozpinam na wiatr,*
*że darmo oczy szukają bezsenne*
*śladu twych białych, bezszelestnych stóp —*

*Tylko ta pewność, że to dopust boży,*
*i żem skazany, aby z życiem ujść,*
*wlokąc za sobą kalectwo mych dni:*
*stwarza to koło codzienne Iksjona,*
*te śmieszne troski i mdłe uniesienia*

*i straż przy płachcie, wydętej pod wiatr.*

## OFELIO!

*W godzinę smutków*
*wołałem Cię:*
*przyjdź i bądź ze mną.*

*Lecz nikt nie pukał*
*do moich drzwi*
*w tę noc nikczemną.*

*W godzinę triumfu*
*staniesz — kto wie —*
*u mego progu.*

*Powie Ci wtedy*
*mój famulus:*
*oddaj się Bogu!*

# Carmina Burrana

## *TAK, TAK*

*Właściwie, moja Pani,*
*to życie*
*funta kłaków nie warte,*
*lecz piękny jest*
*kościół św. Guduli*
*w Brukseli.*

*Właściwie, moja Pani,*
*te szmatki jedwabne,*
*noszone*
*na boskiem twem ciele,*
*nie warte pracy niewolnic,*
*co długo, mozolnie*
*zszywały ścieg po ściegu.*

*Tem mniej zaś warte*
*szacherek*
*sympatycznego męża,*
*co w cieniu swoich mebli,*
*w zacisznym gabinecie,*
*kupionym*
*u Le Corbusiera,*
*snuł na twoją intencję*
*genjalne kombinacje.*

*Właściwie, moja Pani,*
*jest wojna*

*piekielnem okrucieństwem,*
*lecz piękny jest*
*Artillery Memorial*
*i jeszcze piękniejszy*
*floret w ręku fechtmistrza.*

*Właściwie, moja Pani,*
*nie jestem żydem,*
*ale Wygnańcem Raju,*
*i kiedy sierżant-Archanioł*
*wywijał dziarsko mieczem,*
*nie było czasu*
*na cyrkumcyzję.*

*Właściwie, moja Pani,*
*nie ciebie pragnę!*
*Szukam*
*od lat trzydziestu*
*jednej — Jedynej*
*i nie wiem, doprawdy,*
*czy oczy ma chabrowe,*
*czy takie czarne,*
*węglem Murilla*
*rzucone,*
*wielkie, zdziwione oczy*
*mego syna.*

*Właściwie, moja Pani,*
*wierzyłem kiedyś*
*w piękne dusze*
*u kobiet,*
*a dziś,*

*wyznam szczerze,*
*bardziej polegam*
*na urodziwej symetrji*
*Kallipygos.*

## *DIANA*

*Za cóż Cię Pan Bóg pokarał?*
*Masz usta, jak wiśnie*
*i zęby młodej wilczycy,*
*a oddech czysty, jak zapach*
*kwiatów niewinnych,*
*rosnących*
*przy polnym sogłówku.*

*Za cóż Cię Pan Bóg pokarał?*
*Masz piersi*
*Diany — Łuczniczki*
*małe i twarde i białe,*
*różowe ich pyszczki*
*patrzą figlarnie w świat,*
*jak młode, pół-ślepe szczenięta.*

*Za cóż Cię Pan Bóg pokarał?*
*Masz biodra chłopięce,*
*bez śladu tłuszczu*
*i fałd*
*niekoniecznie greckich...*
*O biodra twoje cudowne!*
*Kiedyś, po latach,*
*pokiwa głową stary profesor:*
*stanowczo za wąska miednica...*

*Miednico Szczęścia!*
*Cóż wie o tobie*
*pachnący tytoniem*

*i jodoformem*
*ginekolog?*

*Za cóż Cię Pan Bóg pokarał?*
*Tak piękna*
*niesamowicie,*
*łania pośród dwunogów,*
*Diana ludzkiego zwierzyńca,*
*Pani mych snów koronkowych —*
*grube masz nogi!!*

## *PANEUROPA*

*Spotkałem dziś,*
*poraz któryś,*
*starszego mężczyznę,*
*a znam go z widzenia*
*oddawna.*
*Ma końską twarz.*

*Zawsze go mam w pamięci,*
*jak biegnie manjackim kłusem*
*po rojnym, miejskim chodniku*
*tam i sam.*

*Czasem zaczepi dziewczynę*
*młodą i wynędzniałą,*
*widocznie niewiele groszy*
*w kieszeni ma.*

*W okresie bezrobocia*
*potaniał damski towar,*
*minęły bezpowrotnie*
*te czasy,*
*kiedy córy murarzy*
*na nocleg brał*
*Prince of Wales.*

*Więc też znajomy mój,*
*niemłody już mężczyzna*
*o końskiej twarzy,*
*urzędnik dwunastego*

*stopnia płacy,*
*grupy C,*

*ma powodzenie wielkie,*
*powoli składa harem,*
*aczkolwiek stanął w Genewie*
*ku wiecznej chwale*
*pakt:*

*Zabrania się raz na zawsze*
*handlu niewolnicami*
*w dorzeczu Zambezi.*

*Spotkamy się jeszcze nieraz*
*na rojnym, miejskim szlaku,*
*urzędnik afrykański*
*i ja,*
*tak strasznie muzykalny:*

*Dziś gwiżdżę*
*nowy przebój:*
*Au revoir,*
*mon chéf,*
*à Génève,*
*à Génève.*

## *U LOURSA*

*Wychował mnie łan podolski,*
*a chlebem karmił mnie*
*czarnoziem*
*i oto mojej wiedzy*
*astronomiczny poziom.*

*Gwiżdżę na mój doktorat*
*philosophiae exactae.*
*Nauka wasza? Słowa!*
*Dajcież mi spokój, macte!*

*Jest na folwarku Felów*
*wiekowy dąb,*
*złośliwą ręką*
*odarty z kory.*

*W cieniu umierającego*
*dębu*
*uczyłem się pokory.*

*I wiem, że wasze księgi*
*rychło robactwo stoczy,*
*więc pocóż męczyć umysł*
*i poco gwałcić oczy?*

*Ty pani, co w kawiarni*
*pochłaniasz mazagrany,*
*nie domyślasz się nawet*
*Jak grają w kościółku organy.*

*Ty panie, nastawiony*
*na współczesne przeboje,*
*nie przypuszczasz, idjoto,*
*jak brzęczą pszczółek roje.*

*I jak na Anioł Pański*
*pastuszek gra na lutni...*
— — — — — —
*O, jakże was nie lubię,*
*wy stado samic i trutni!!!*

## *SERCE POETY.*

*Zaniosłem dziś serce moje*
*do banku*
*i wskazał mi odźwierny*
*palcem nieumytym w bucie*
*pododdział lombardowy,*
*kędy już z rana —*
*bo taki ponoć los —*
*znoszono z ulic i dzielnic*
*złota i srebra stos.*

*A były tam zegarki*
*i staroświeckie wisiorki,*
*pokoszlawione manele,*
*parę pierścionków ślubnych*
*z napisem: twoja Zochna,*
*albo poprostu: Z.*

*Inicjał inicjałem,*
*trudno, gdy głód dokuczy,*
*lub doktór z Kasy Chorych*
*jakoś z wizytą zwłóczy:*
*od tego lombard jest.*

*Czasem się zjawi jejmość*
*w spódniczce plisowanej*
*w epoce Waterloo,*
*Przyjdzie, pokornie stanie,*
*i czeka swej kolejki,*
*aż kapnie jej grosz wdowi*

*za widelczyków sześć,*
*deseru nie jadamy*
*— wiadoma przecie rzecz —*
*a chleb niecodzień mamy.*

*I stałem tak w ogonku*
*przez minut sto, czy więcej,*
*aż wreszcie przed oblicze*
*srogiego taksatora*
*wypadło mi już iść.*

*Pokornie, jak ta wdowa*
*w spódniczce plisowanej*
*w epoce Waterloo,*
*spojrzałem w oczy pańskie*
*bladego głodomora.*
*Tęgą miał bardzo minę,*
*ale nietęgie lica,*
*ruszała mu się grdyka,*
*a na obrosłe palce*
*spadały mu raz wraz*
*mankiety kauczukowe.*

*I nagle stał się skandal!*
*Sensacja nad sensacje!*
*Przed chwilą jeszcze ważył*
*w swem ręku doświadczonem*
*mały, złocisty krzyżyk,*
*usiany rubinami,*
*aż tu, przed jego oczy,*
*złe oczy taksatora,*
*jawi się tak poprostu,*

*spokojnie i stanowczo*
*czerwone, ludzkie serce,*
*dyszące jeszcze parą*
*czerwonej, ludzkiej krwi.*

*Wmieszała się policja,*
*zemdlały dwie panienki*
*wiekowe, kanoniczne.*
*Ktoś krzyknął: żydów bij!...*

*Ale najgorzej, wyznam,*
*że mi za serce moje,*
*czułe i światłochłonne,*
*za ten niezbędny sprzęt,*
*symfonję w moll i dur,*
*nie dano nic a nic.*

*I pewnie leży dotąd*
*w śmietniku magistrackim*
*i czeka załatwienia*
*do liczby 1003.*

## *ERLAUFSEE*

### *I*

*Posłuchaj:*
*jest wedle gór*
*jezioro Erlaufsee.*
*Praży je słońce w dzień*
*i spija chciwie wodę,*
*a w nocy można śnić:*
*W poświacie księżycowej,*
*na wielostrunnej harfie*
*powojów i szuwarów*
*gra brat mój wiatr.*

*Tiitiii! Tootooo!*
*To nic. Napróżno lękasz się:*
*Pan zagrał na fletnicy,*
*bezsenny, leśny bóg*
*zapragnął pieszczot nimf.*
*Czasem przemówi coś,*
*a czasem zcicha pluśnie:*
*szeptem, ukradkiem prawie*
*zmywa z nas wieczny grzech*
*brat — wiatr*
*i siostra — woda.*

*W południe, na gościńcu,*
*pytałem dalszej drogi,*
*zgrzybiały jakiś drwal*
*tak się zapatrzył na mnie:*

*jak? do Assyżu szlak?*
*Nie, panie, stokroć nie!*
*Przed wami Erlaufsee.*

*II*

*Za rok, za dwa*
*będzie wszystko to tylko legendą.*
*Pocóż ta łza?*
*Ciche płaczki nademną zasiędą.*
*Co z ognia ma*
*przedziwnie wieczny początek,*
*choć dzisiaj trwa,*
*jutro zagubi swój wątek.*
*Urwie się nić*
*i znów będę — sam — w popiele*
*próbował wić*
*stryk na szyję —*
*Szatanie!*
*Aniele!*

*III*

*Wstrzymałem dech,*
*czekając aż księżyc wzejdzie,*
*serce jak bęben rwie —*
*powiedział lekarz: to przejdzie.*
*Tak-tak! Tak-tak!*
*Pan w złości wodę chłoszcze*
*i fletnia lśni*
*niby mordercze ostrze.*

*I trudno mi*
*opuścić ten czar upiorny —*
*komuż to rzec?*
*Powiedzą: nie, pan doprawdy wyborny!*
*Zakłóca nam noc*
*grubemi „goisererami“,*
*do djabła już*
*z pańskiemi górami, lasami!*

*IV*

*Tak cicho, cyt...*
*Coś się u brzegu ruszyło,*
*przemknęło tuż*
*i znów się w boru zaszyło.*

*Przeminie czar*
*i znów nas ogarną miasta,*
*nie będzie nimf,*
*tylko twarze z chciwości i ciasta.*
*Umilknie Pan,*
*zagłuszą go samochody,*
*w café chantant*
*będą chłeptać mazagran i lody.*

*V*

*Tymczasem*
*w poświacie księżycowej,*
*na wielostrunnej harfie*
*powojów i szuwarów*
*gra brat mój wiatr.*

## *NOC W LONDYNIE.*

*Otwartem oknem wdziera się deszcz,*
*noc ciemna, godzina druga,*
*daleko słońca, nie widać dnia —*
*nim rosa oczy wyżre —*
*przyjdzie się dławić od cichych łez*
*i mówić tym, co umarli:*
*dobry jest kres.*

*Dobrze jest chyba nie dźwigać dni,*
*co tak się zwolna wloką,*
*pędzą wieczory, przednia straż —*
*i noc, zmęczony piechur,*
*powoli ciągnie się, jakże ślimaczo*
*za awangardą nadąża.*

*Najlepiej chyba powiedzieć: well,*
*pogódźmy się jakoś z sobą!*
*Nie jesteś więcej śmiertelnym tchem,*
*ale chroniczną chorobą.*

*Ty jesteś noc, a ja jestem deszcz,*
*co pada ciężkiemi łzami —*
*bądźmy małżeństwem — na ból i los*
*i rozkosz z przeszkodami...*

*Małżeństwa w Anglji ponoć są*
*wręcz zawierane w niebie —*
*ty jesteś noc, ja jestem deszcz,*
*wspomóżmy się w potrzebie.*

*Na Russel Square widziałem sklep,*
*chodź ze mną do jubilera,*
*kupim pierścionki, very nice!*
*niech słońce się w nich przeziera!*

*Ach, zapomniałem, niema już słońc,*
*a dawno pogasły gwiazdy,*
*cicho deszcz pluszcze, po Gray's Inn Road*
*turkocą spóźnione pojazdy.*

— — — — — — —

*Zegar wybija: druga i pół.*
*Telefon! Podnoszę słuchawkę:*
*kto mówi?*
*Firma Smith and son —*
*I słyszę słowa spokojne,*
*kupieckie, stateczne, rozumne:*
*I beg your pardon,*
*good evening, Sir!*
*Czy pan zamawiał trumnę?. .*

## *TRZECIA SIĘ ZBLIŻA*

*W tę niekończącą się wcale noc*
*sierpniową,*
*kiedy za oknem walą dżdże szalone,*
*myślę, że drobnym kroczkiem*
*idzie jesienna pora*
*i co to będzie?*

*Mam wprawdzie dach nad głową —*
*różnie bywało*
*od pamiętnego roku*
*wybuchu Wojny —*
*Mam nawet łyżkę strawy,*
*dobre cygaro*
*i minę*
*conajmniej*
*Lorda of Durham Smoke Tobacco...!*

*Ale najgorzej*
*z tym snem, z tym snem*
*przeklętym.*

*Doprawdy, trzeba rzecz tę*
*raz wyjaśnić:*
*Panie Boże! A czy nie moglibyśmy*
*we dnie*
*prowadzić konwersacji?*
*Chcę spać, dobranoc!*

*Chcę strasznie spać*
*i gardło mam spalone*
*dymem,*
*i płuca mam zwęglone*
*żarem,*
*a serce mam zatrute*
*jadem —*
*i zieeewam —*
*Panie Boże!!*

## *MOI GOŚCIE*

*W wazonie na mym stole*
*są zawsze świeże kwiaty,*
*których mi nikt nie znosi.*

*Kupuję je na rogu*
*i takie, jak wypadną;*
*babina kwiatodajna*
*niewielki ma widocznie*
*wybór.*

*Kiedyś mieszkały ze mną*
*maki, przepastne kwiaty,*
*o których cudnie ongiś*
*pisała Zawistowska.*

*Potem przyszły gwoździki,*
*czerwone, krwią nabrzmiałe*
*i białe, anemiczne*
*i żółte, cytrynowe,*
*proszące się o biust*
*przekwitającej panny.*

*A dziś — merci, kwieciarko,*
*stoją na moim stole*
*w wazonie z tęczowego,*
*przezroczystego szkła*
*miodem pachnące „jaśki"!*

*I oto się zaludnił*
*mój mały, cichy pokój —*

*leżę, zmęczony bardzo,*
*precz odrzuciłem szmatę,*
*której na imię „Dziś“;*
*cóż mnie obchodzą szpalty*
*i kubły niepachnące,*
*któremi raczą się*
*wielcy panowie z prasy.*

*I czy to jest ciekawe,*
*co pan redaktor z rana,*
*nie wypłukawszy zębów,*
*spłodzi na Linotypie?*

*Spojrzeniem rozkochanem*
*wodzę za moim stołem,*
*zalanym bożem światłem*
*żniwnego popołudnia.*

*A tu dwie małe pszczółki,*
*a potem jeszcze jedna,*
*wybrały się z wizytą*
*i siadły na mych „jaśkach“,*
*ruszając pośladkami.*

*Jakże was kocham za to,*
*żeście tu przyszły do mnie,*
*że mogę was przywitać*
*nie wstając wcale z łoża.*
*Nie trzeba wam czułości,*
*nie trzeba konwersacji,*
*a już zupełnie chyba*
*nie trzeba wam pieniędzy.*

*I jakże słodko patrzeć,*
*jak skrzętnie wy umiecie*
*zbierać swój miód z mych „jasków"*
*i spijać boży nektar,*
*mrugając oczętami,*
*ruszając pośladkami,*
*wy, cudne moje pszczółki!*

*I dziwić się, że przy was,*
*wy, muzy — pracownice,*
*zadźwięczy moja lutnia?!*
*— — — — — — —*
*Wtem dzwonek...! Gospodyni*
*zaziera do pokoju:*
*„jest pilny list dla pana"...*

*?!*

*„Od mecenasa Trutnia!"*

## *KOLPORTER ULICZNY*

*Spłodził ciebie bandytą*
*z pomyloną, kaprawą żebraczką —*
*na łęgach wiślanych.*

*Wziął ją w natchnieniu*
*irracjonalnem,*
*jak rzut meteorów,*
*zdobywczych ramion.*

*Tchnął w nią iskierkę płodności —*
*pulix meretrix*
*pod tchnieniem bożem*
*stała się*
*matką pokoleń:*
*Venus Genetrix.*

*Wskakujesz na stopnie tramwaju*
*i wrzeszczysz: „Dobry Wieczór“!*
*i głosisz:*
*„wielkie morderstwo we Lwowie“,*
*i ślinisz się:*
*„za dziesięć groszy“!*

*Kupuje łyczek gazetę,*
*spojrzy leciwa pannica*
*przez ramię sąsiada,*
*czy niema ogłoszeń małżeńskich —*
*I tramwaj rusza.*

*Czekasz doli - niedoli,*
*czy cię wyniesie*
*na czoło szajki złodziejskiej,*
*przyniesie laury, dolary,*
*czy też zgnijesz w przytułku*
*i wszy cię zjedzą*
*w Cyrku, na Dzikiej.*

*Czekasz powiewu ze Wschodu,*
*czyli dokona*
*globalnych zmian*
*i odda w ręce,*
*podobne twoim,*
*władzę i miecz.*

*Chciałbyś, tak bardzo chciałbyś*
*podgwożdżonymi butami*
*rozdzierać fotele*
*w „Astorji"*
*i żłopać wino*
*w „Angielskim"*
*i w twarze pluć*
*„białoruczkom"...*

*Biedny chłopczyno!*

# P o s t h u m u s

Nie wiem, czy można kochać równocześnie dwie kobiety, ale wiem, że można umiłować dwie ojczyzny.

## Ż A L

*Kupiłem w Toledo szpadę,*
*a miała stal z Damaszku.*
*Szpado ty moja!*

*Była mi towarzyszką*
*i była moją dumą,*
*i była moją dumą — —*
*Szpado ty moja!*

*A dziś — złamałem szpadę,*
*to nic, że serce pękło,*
*mniejsza o ochłap mięsa,*
*jednego trupa więcej!*
*Tylko mi szpady szkoda:*
*Szpado ty moja!*

Na str. 58 wiersz 5-y powinien brzmieć zamiast: *„i była moją dumą“ — „i była mi obroną“.*

## ORKAN

*Duchu wyniosły i święty!*
*Z tej nieistotnej ziemi*
*ku światu zdarzeń prawdziwych,*
*pobudowanych*
*na opoce*
*Niezbadanych Spraw,*
*z tego padołu łez*
*i beznadziejnej szarzyzny,*
*ukłon zasyłam czci pełen.*

*Nie znałem Ciebie nigdy,*
*duchu św. Franciszka*
*z Poręby Wielkiej,*
*poczta Niedźwiedź.*
*Ale piętnastolatek*
*zapragnąłem Twojej opinji*
*o elukubracjach*
*genjusza z V-ej A.*

*I odtąd szły różne listy,*
*zwyczajne i ekspresowe,*
*nie zapominając, rzecz prosta,*
*o poleconych.*
*Czegom nie wypisywał,*
*migając cytatami*

*starego śledziennika*
*Schopenhauera,*
*a tu i owdzie tylko,*
*dla barwy, przeplatając*
*słowami Zaratustry.*

*A Ty?*
*Otuchy dodawałeś,*
*krzepiłeś, pocieszałeś*
*obcego i małego*
*genjusza*
*z V-ej A.*

*Mijały lata, lata,*
*gdzieś komuś ojce zmarli,*
*a ktoś postradał brata,*
*a komuś znowu obrzydł*
*nasz żywot marny, karli,*
*bo twardy żywot nasz:*
*nietylko na Podhalu,*
*„gdzie chłop na łany*
*wyszedł z kosą*
*istna Śmierć —*
*istne cienie,*
*chylące się pośród zbóż"...*
*ale i bruki ulic*
*stołecznych, pięknych miast*
*i zamulone chodniki*
*miasteczek niewyspanych*
*zaledwie trochę owsa,*
*i tę przygarść jęczmienia,*
*sto ziaren kukurydzy*

*wydają w ciężki czas.*
*Nie obrodziło jakoś*
*i wcześnie, już pod jesień,*
*rozpocznie się przednówek,*
*św. Franciszku*
*z Poręby Wielkiej!*

*Mijały lata, lata,*
*i znów pisałem do Ciebie,*
*a listy Twoje były*
*dobroci niesłychanej*
*pełne.*

*Krzepiłeś prekursora*
*— niechaj zaświadczy Ortwin —*
*że w tomie różnych wierszy*
*podówczas tak młodego*
*stud. utriusque iur.*
*są nowych światów mgławice*
*i nowych dni pobrzaski*
*i nowych losów błyski.*

*Zbierałem Twoje listy,*
*jak bartnik miód wybiera.*
*Trzymał je w swej szkatułce*
*druh młodych, krzepkich lat,*
*lutnista niezawodny,*
*na wino niewzgardliwy —*

*Dziś hreczkę tylko sieje,*
*podolski łan obsiewa,*

*coś pisze, potem ziewa,*
*— Feliksie, obudź się!*

*Frywolne są na pozór*
*dziękczynne moje zwrotki,*
*lecz wiedz, że z głębi serca*
*krwi smugą jak najgłębszą,*
*płynie za Tobą żal mój*
*i dziękczynienia szept.*

*Z tej ziemi nieistotnej*
*z krainy łez i złud,*
*przesyłam dank i pokłon*
*raz jeszcze:*
*przyjm podziękę!*
*Św. Franciszku*
*z Poręby Wielkiej.*

## LEOPOLIS

*Przyjdą wiosenne deszcze*
*i zmyją*
*krew bratobójczą*
*na ulicach ghetta*
*i hańby ślad.*

*Przyjdą*
*budowniczowie Jutra*
*i rzekną*
*zacietrzewionym*
*lub „niegramotnym“,*
*że dziećmi jesteśmy*
*jednej — jedynej*
*i niepodzielnej*
*ziemicy.*

*Spróbujmy!*
*Wart owoc wysiłku*
*i pszenny chleb*
*wart ciężkiej orki:*
*Spróbujmy*
*opasać glob nasz polski — —*
*ramię przy ramieniu.*

*Ty, bracie, z gleby*
*pochodny,*
*ty, druhu*

*z wyższej uczelni,*
*I ty, towarzyszu pancerny*
*z dymnych warsztatów.*

*I ty, niebogo,*
*smoluchu,*
*co resztą płuc*
*rozniecasz*
*palenisko fabryczne.*

*I ty, kudłaty*
*krajowy cudzoziemcze,*
*co zapominasz,*
*że ojce twoi*
*złożyli kości w tej ziemi.*

*Silni jednością,*
*nie będziem pastwą*
*junkierskich*
*sadystycznych*
*zamachów.*

*Jednością silni,*
*w pył odepchniemy*
*wroga.*

*Vive la Pologne!*

## NIESTETY

*Piewcom praworządności,*
*tym, co ręką*
*braci rodzonych*
*ścinali kosodrzewinę*
*na Huculszczyźnie,*
*aby olejki warzyć*
*i kieszeń napychać funtami...*

*Piewcom praworządności,*
*co raj znaleźli w ojczyźnie,*
*ale zdołali*
*w D-Banku berlińskim*
*doczekać się konta,*
*opuchniętego mareczkami.*

*Piewcom praworządności,*
*co mają na ustach*
*walkę klas —*
*w chwili, gdy na rubieżach kraju*
*płonie dziedziczny las,*
*w chwili, gdy junkier pruski*
*i pederasta*
*— szkiełeczko w oku —*
*szle Budjennemu pokłon:*
*Heil und Sieg!*
*i łuna wzrasta...*

*Wy, trupie Ekscelencje!*
*W cudowny, sierpniowy poranek,*

*gdy pełnia życia się mieni*
*barwami kwiatów, zieleni*
*i jońskiem morzem*
*nad polską ziemią —*

*Wam, mumiom strupieszałym*
*ślę kondolencję.*

## *MILES GLORIOSUS*

*(1916)*

*Kiedy pułkownik*
*Franz Seeland,*
*z sentymentu czech,*
*a czarno-żółty*
*z temperamentu,*

*brał mnie na spytki —*
*żołnierza*
*Jego Cesarskiej Mości —*

*i pytał w cztery oczy:*
*jakże tam było?*
*i o czemżeście mówili*
*z tym jakimś jeńcem*
*rosyjskim,*
*nun, was macht das Vaterland?*
*i dokądżeście puszczali*
*Orła Białego?*

*To kiedy złość bezsilna*
*walczyła z junackim rumieńcem —*
*musiałem milczeć.*

*I kiedy brał słuchawkę*
*telefonu,*
*aby z komendy placu*
*eskortę dali —*
*to pięść przy szwach pantalonów*

*drgała — bezsilna —*
*a serce dźwięczało głośniej*
*od serca dzwonu.*

*O, średniowieczna twierdzo*
*Hohensalzburg!*
*Izdebko w mroźnym baraku,*
*wśród oficerów serbskich,*
*w Groedig.*

*Pamiętam ciężkie wierzeje,*
*co się zamknęły za mną*
*na długie noce.*

*Jeździłeś sobie podówczas*
*do Katarzyny*
*Schratt —*
*na noclegi,*
*Franciszku Józefie,*
*w dworskiej karocy.*

*Jeździłeś w pióropuszu,*
*w krwawych lampasach,*
*i jak przystoi,*
*przy szabli.*

*Aż wzięli was wszystkich,*
*przezacnych*
*raubritterów —*
*djabli!*

## *AHASWER.*

*Czy wiesz?*
*Mam syna, pierworodnego syna.*
*Złote ma włosy i wielkie,*
*głęboko w świat patrzące oczy,*
*czarne jak żuk.*

*Przez jego oczy mówi*
*dwudziestowiekowy*
*szlak mojej drogi:*

*Głębnym wąwozem*
*śródziemnomorskim*
*płynąłem ongiś,*
*lat temu dwa tysiące,*
*ku Tobie.*

*Maszerowałem, choć jeniec,*
*sprężystym krokiem*
*w ślad za kwadrygą*
*triumfatora,*
*imperatora*
*Tyta.*

*A w ręku niosłem*
*naczynia święte*
*z przenajświętszego*
*miasta*
*Jeruzalem.*

*Słońce Iberji*
*karmiło mnie,*
*pacholę,*
*u stóp*
*maurytańskich*
*mędrców chłonącego*
*wiedzę o bożym świecie*
*i*
*o rysunku przecudnej*
*arabeski,*
*algebry proste, czyste symbole,*
*i to,*
*co zawarł w swych księgach:*
*Rambam.*

*A kiedy było mi znowu*
*sądzone,*
*bym kij wędrowny wziął*
*i spiesznym krokiem,*
*w tył spoglądając za siebie,*
*gdzie w brzasku dnia*
*i w smugach dżdżu*
*gasło tysiączne*
*autodafé,*
*wzniecone ręką arcypsa*
*Torquemady — —*

*zdążałem chybko*
*ku rubieżom Francji,*
*to nie spoczęły me stopy,*
*aż się znalazłem*
*wśród wiecznie zielonych*

*soczystą zielenią krajów,*
*ogrzanych golfstromem,*
*pól flandryjskich.*

*Przodkowie moi*
*przywykli*
*ginąć wśród mąk wymyślnych,*
*od ręki*
*zbirów zadanych.*

*A umierając,*
*przywykli*
*wymawiać słów niewiele:*
*Jeden jest Bóg!*

*Zaś ja,*
*Twój druh, Twój mąż*
*i Twego kraju*
*nie najlichszy syn — —*
*gdy umrę kiedyś,*
*to powiem:*
*Bóg — i Ty!*

*Trudno widocznie*
*utrzymać łączność szczepową*
*przez dwa tysiące lat.*

## *KOŁYSANKA*

*Synu, mój, synu!*

*Na wargi moje trysnęła krew*
*i zęby zaciskam w boleści,*
*zmarszczone czoło, ściągnięta brew,*
*mózg pęka od wrzącej treści.*

*Nie lękaj się, to przejdzie wnet,*
*Synu maleńki!*

*W bólu serdecznym rodziła cię*
*słabiutka macierz,*
*o jakże zwolna godzina mknie!*
*zmów tylko pacierz*

*I już nie lękaj się,*
*to przejdzie wnet,*
*Synu jedyny!*

*W męce, udręce tworzy się Czyn*
*i myśl nabiera kształtu —*
*zawiedzie ojciec — nie skrewi syn,*
*odeprze przemoc,*
*odwali mur*
*ciemnoty, hańby, gwałtu.*

*Nie lękaj się — to przejdzie wnet,*
*Synu mój mały!*

*A dziś*
*słoneczny, cudny dzień,*
*pójdziemy w pląsy —*
*po ścianie ślizga się śmieszny cień:*
*złota główeńka —*
*siwe wąsy.*

*Będzie Ci jeszcze w życiu tak dobrze!*
*Naucz się tylko:*
*że śmiać się musisz*
*śmiechu kaskadą*
*i czuwać — zawsze bezsenny!*
*a bić — przytomnie i chrobrze.*

*Synu,*
*mój skarbie bezcenny!!*

## TRUMPELDOR

*Kapitanie!
Zdobywałeś indygenaty
szablą bez skazy,
sercem bez zmazy —
na polach Mandżurji,
nad żółtą rzeką Jalu
i w skrach opalu
zachodzącego słońca
carów.*

*Kapitanie!
Przebiegłeś ziemię
wszerz i wzdłuż,
by wreszcie osiąść
wśród łąk, wśród zbóż
wiecznie współczesnej,
nigdy doczesnej
Ziemi twych Ojców,
Kapitanie!*

*A życie twoje
znalazło ujście
w piachach Tel-Chaj,
ejn dawár, tow lamút —
dla innych zgroza,
dla Ciebie raj!*

*To, co ostało —
huczy i wre,*

*wrzeszczy i grzmi,*
*to pokolenie*
*wygodnych snobów —*
*nie z Twojej krwi!*

*Z kości Twych świętych*
*i z myśli Twych*
*wniebowziętych*
*powstanie syn.*
*Twój sen o szpadzie*
*zamieni w jutrznię,*
*zamieni w czyn.*

*Nie będzie mścił się,*
*rzuci fundament,*
*i zginie hańba*
*i szczeźnie lament*
*skarlałej rasy*
*o płaskiej piersi.*

*Wy młodzi, czujni,*
*pójdziecie pierwsi,*
*wy młodzi, bujni,*
*sztandar zatkniecie —*
*Erec powstanie!*

*Tunel przebiłeś*
*wskroś mórz, wskroś burz,*
*słabych, krzepiłeś,*
*Erec powstanie —*
*szablą bez skazy,*
*sercem bez zmazy —*
*Kapitanie!*

## *MODLITWA.*

*W godzinę smutków,*
*w tę najsmutniejszą,*
*przed Tobą, Panie,*
*zginam kolana —*
*Adonáj*
*Elohim,*
*Adonáj*
*Echád!*

*Boże mych ojców,*
*tych pomęczonych,*
*sponiewieranych,*
*gwałtem podlonych,*
*Boże*
*„wybranego“ ludu,*
*by wziął na siebie*
*pasję całego świata,*
*by na swe barki*
*wziął wszystkie nędze*
*i wszystkie szychy*
*doczesnych zbytków,*
*wszelaką złość —*
*i był wszechobecnym w cierpieniu —*
*Adonáj*
*Elohim,*
*Adonáj*
*Echád!*

*Chciałeś, bym pamięć zatracił*
*w nieszczęściu,*

*więc nie pamiętam*
*już nic a nic,*
*jak gryzłem wargi,*
*jak z ciała mego*
*leciały drzazgi*
*w piwnicach*
*św. Inkwizycji —*
*Adonáj*
*Elohim,*
*Adonáj*
*Echád!*

*Chciałeś — więc nie wiem,*
*nic już dziś nie wiem,*
*kto to był Bejlis,*
*do czego wiedzie*
*żądza szatana,*
*aby dokuczyć*
*i pluć oszczerstwem,*
*i w serca*
*piętnastu miljonów*
*ludzi*
*bić, niby w bęben*
*janczarski.*

*Chciałeś — straciłem*
*z wątłej pamięci*
*pomordowanych*
*na szlaku Petlury,*
*żywcem palonych,*

*ściętych, gwałconych*
*w zaułkach Płoskirowa,*
*gdzież była Twoja*
*Arka Przymierza,*
*gdy mordowano*
*Twój lud „wybrany“,*
*gdy dzikie bestje*
*w ludzkiej powłoce*
*hulały*
*w domostwach Żytomierza?*
*Adonáj*
*Elohim,*
*Adonáj*
*Echád!*

*Czasem, gdy siędę*
*przy szklance wina*
*i wezmę kryształ*
*miły do ręki —*
*pod słońce patrzę:*
*przezacny napój...*

*Nie, to nie wino!*
*Na litość bożą,*
*to moich braci*
*przelana krew!...*
*Gdzież Twe pioruny,*
*gdzie Twoja miłość,*
*gdzież sprawiedliwość*
*Twoja bez granic?*
*Adonáj*

*Elohim,*
*Adonáj*
*Echád!*

*W godzinę smutków,*
*tę bardzo szarą,*
*przed Tobą, Panie,*
*zginam kolana,*
*niech scichnie ból mój,*
*niech skrzepnie rana —*
*Adonáj*
*Elohim,*
*Adonáj*
*Echád!*

## GENEZA NASTĘPNYCH WIERSZY

*W starem dworzyszczu podolskiem,*
*w schludnym pokoju*
*zakopiańskim*
*młodego pana,*
*kędy ze ścian spoglądały*
*pełne grozy i piękna*
*miedzioryty z albumu*
*Saschy Schneidra —*
*w ślicznem, cacanem biureczku,*
*przed laty dwudziestu z czemś —*
*spoczywał rękopis*
*przyjaciela — żyda —*
*Lewittesa.*

*I kiedy spalił się dwór*
*w roku czternastym,*
*kiedy wśród huku dział,*
*wycia kozaków,*
*padały granaty,*
*niby źrałe gruszki*
*pod jesień,*

*to raz na zawsze*
*poszły w niepamięć*
*drobnem, sztubackiem pismem*
*zapisane karty*
*książki,*
*której tytułu*
*dziś nie pamiętam.*

*Parę zaledwie stronic,*
*ufając pamięci zawodnej*
*dziś przepisuję.*

## *DO FELIKSA UJEJSKIEGO*

*Siedmiomilowy but,*
*który wdziałem,*
*ani mi ciasno w nim,*
*ani obszernie,*

*the best shoe —*
*bił się w obłudną pierś przekupień,*
*uderzył we mnie jego wzroku knut,*
*i wypłaciłem niechcąco gotówkę,*
*a można było za tyle monety*
*otrzymać księgę i godzinę skupień,*
*albo wysłuchać okrzyczaną „Wdówkę"...*

*Co mi po światach,*
*pytasz, Przyjacielu?*
*Na stare ścieżki*
*tem pewniej się wraca?*
*Zachciało mi się zdarzeń, ogni sztucznych,*
*i zapragnąłem błysku i szmermelu,*
*konia, czapraka, marszruty w świat wielki.*
*I przyszła na mnie buńczuczna ochota*
*burzyć za sobą mych nawrotów mosty,*
*twarze kochane, serdeczne, serdeczne...*

*A to Ci powiem, dobry wielce Felu,*
*że gdy się człowiek najogniściej miota,*
*zda mu się wtedy, że sam czas się skraca,*
*zda mu się wtedy, że życie obraca:*
*ten bursztynowy i słoneczny pierścień!*

*Podróże moje?*
*Wszak były bezpieczne!*
*I nie wiem dziś,*
*czemum kupował, gdy mnie trawił głód*
*i chłodno było we mnie i wkoło mnie...*

*Na ucho-ć rzekę:*
*zdradził mnie haniebnie,*
*oszukał brzydko,*
*ośmieszył nieskromnie —*
*siedmiomilowy but.*

## *TABLICA PROMETEIDÓW.*

*Niehamowany zapęd, wszystkożerne chęci*
*wyszeptały ci w ucho zdradziecką podnietę.*
*o n i spali conocnym, smacznym snem ujęci,*
*a ty, szkłami złudnemi węsząc chytrą Letę,*
*darowałeś im ogień, krzycząc: wstań, owczarnio!*

*Spało wszystko. Miarowe chrapanie gromadne,*
*cennym szlochem zawodu w twej piersi odbite—*
*w pył rozbiły się skarby ukochań przesadne!*
*Chciałeś obudzić siły ciemnością spowite,*
*a świeciłeś piratom przygodną latarnią!!*

## *CHARMIDES*

*Jeżeli syn mój,*
*dziewięciolatek*
*porzuci kiedyś*
*fantazję lat dziecięcych,*

*(chciałby ponownie*
*odkryć Alaskę,*
*i wskazać drogi*
*polarne,*
*których nie znalazł*
*Sir Eric Shackleton),*

*jeżeli ojca*
*spadek kapcański*
*podejmie,*
*to niech napisze*
*przynajmniej*
*poraz wtóry*
*spalony,*
*zniszczony*
*poemat,*
*któremu na imię*
*było:*
*Charmides.*

## *NEARER, MY GOD*

*Nearer, my God, to Thee —*
*wołam Cię, Panie!*
*Pozostawiłem za sobą*
*życia trawiącą żądzę,*
*dosyt i głód, złoto i szych,*
*pragnienie zwierza w pustyni,*
*po której hula chamsin,*
*skowyt miłosnych uścisków*
*i piersi młodych kobiet,*
*kwitnące,*
*pachnące.*

*Nearer, my God, to Thee —*
*Pozostawiłem za sobą*
*tragikomiczne dzieje,*
*dni naszych szary różaniec,*
*zachwyty nocy szalonych,*
*młodości ostatnie „evoe!“*
*i wszystek kłam,*
*pstry, wyświechtany łachman,*
*tak nieodzowny*
*wśród ludzi.*

*Weź mnie, przytul mnie, Boże,*
*weź moją dolę sierocą,*
*bo jeślim grzeszny, omylny —*
*czyste mam łzy.*
*Któż mnie zrozumie w tym tłumie,*
*kto mnie pocieszy*
*i któż mi oczy przykryje,*
*jeśli nie Ty?!*

# T R E Ś Ć

## Grzech Pierworodny


*Wyznanie* . . . . . . . . . . . . . 7
*Angela Dei* . . . . . . . . . . . . . 8
*Pia* . . . . . . . . . . . . . . 9
*Lęk* . . . . . . . . . . . . . . 10
*Aquis Submersus* . . . . . . . . . . 11
*Bezsilność* . . . . . . . . . . . . . 13
*Ofelio!* . . . . . . . . . . . . . . 15


## Carmina Burrana


*Tak, tak* . . . . . . . . . . . . . 19
*Diana* . . . . . . . . . . . . . . 22
*Paneuropa* . . . . . . . . . . . . . 24
*U Loursa* . . . . . . . . . . . . . 26
*Serce poety* . . . . . . . . . . . . 28
*Erlaufsee* . . . . . . . . . . . . . 31
*Noc w Londynie* . . . . . . . . . . 34
*Trzecia się zbliża* . . . . . . . . . . 36
*Moi Goście* . . . . . . . . . . . . 38
*Kolporter uliczny* . . . . . . . . . . 41

## Posthumus

*Żal* . . . . . . . . . . . . . . 45
*Orkan* . . . . . . . . . . . . . 46
*Leopolis* . . . . . . . . . . . . . 50
*Niestety* . . . . . . . . . . . . . 52
*Miles Gloriosus* . . . . . . . . . . 54
*Ahaswer* . . . . . . . . . . . . . 56
*Kołysanka* . . . . . . . . . . . . 59
*Trumpeldor* . . . . . . . . . . . . 61
*Modlitwa* . . . . . . . . . . . . . 63
*Geneza następnych wierszy* . . . . . . 67
*Do Feliksa Ujejskiego* . . . . . . . . 69
*Tablica Prometeidów* . . . . . . . . 71
*Charmides* . . . . . . . . . . . . 72
*Nearer, my God* . . . . . . . . . . 73

Tegoż autora

w przygotowaniu:

„ROZMOWY Z SYNEM”

str. 90 i 1 ft.

Cena egzemplarza oprawnego 3 złote